



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEȚ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

SZCZĘSNĄ.

SONETY.

Święty Gral.

I.

Wędrował rycerz do Świętego Gralu,
I do cudownej nie mógł trafić grotty,
Gdzie płonie w blaskach ołtarz szczerozłoty,
A na kosztownym stoi piedestalu

Najświętsza czara rzeźbiona z opalu,
Zapomnianego już mistrza roboty,
W którą zebrali boską krew z Golgoty
Dwaj aniołowie. Rycerz pełen żalu,

Czyniąc pokutę, zwalczając potwory,
Znosi dnia trudy, nocnych strachów zmyry,
Modli się, tęskni, szuka, błądzi, pyta,

I głuche wieści na rozdrożach chwyta,
A tłumiąc w piersiach ból, wstyd, żal i trwogę,
Przechodniów prosi: pokażcie mi drogę!

II.

Błądny rycerzu! otrząśnij się z żalu,
I wyjdź na słońce z dzikiej puszczy cienia;
Twe niewygasłe za pięknem pragnienia
Na twego ducha płoną piedestalu.

Fantazya twoja, to czara z opalu
Kipiąca wrzącą falą uniesienia,
A boski kielich twórczego natchnienia —
To tajemniczy skarb Świętego Gralu!

Ty się przechodniów o drogę nie pytaj,
A namiętności potwornego wroga
Całym zapalem rycerskim zwyciężaj!

Walcz, tęsknij, pragnij, i siły wyteżaj,
Prawdą wyrastaj, miłością zakwitaj,
W końcu odnajdziesz w sercu własnym — Boga.

Gothard.

Z olbrzymiej piersi starego Gotharda,
Okutej w granit i kamienne bryły,
Czterech strumieni biją silne żyły,
Aż ziemia tętni, skalista i twarda...

O, piersi ludzka! tkliwa, dumna, harda,
Z ciebie buhają fale większej siły,
Tajemne źródła się w tobie ukryły,
I po kolei, gniew, męstwo i wzgarda,

Miłość i zemsta, rozpacz i natchnienie,
Łzami i ogniem lub pieśnią ucieka...
Pioruny biją w skalną pierś olbrzyma,

Nieszczęścia biją w ciepłą pierś człowieka...
Lecz Gothard — burzą karmi swe strumienie,
Lecz człowiek — duchem szał ciosów wytrzyma.

Wystawa pracy kobiet.

III.

Po wyrobach nowych, a mało u nas znanych, drugie z kolei zaszczytne miejsce, wśród turnieju prac niewieścich, należy się licznie reprezentowanemu szkolom malarskim. Zakres objęty programem wystawy, nie pozwalając na wykazanie całej ich działalności; sztuka czysta bowiem, zupełnie wykluczona tu została; uwzględniono jednak, zastosowanie jej do przemysłu, w najszerszym i najwszechstronniejszym znaczeniu.

Korzystając z tego, stanęły przed publicznością, z licznymi okazami pracy swej, szkoły p.p. Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej, Alicyi Nowińskiej, Bronisławy Poświkowej, Bronisławy M. Wiesiołowskiej i Leokadyi Mierosławskiej. Obok tych uczelni zawodowych ugrupowały się dopiero pracownice pojedyncze, działające na własną rękę, których wyroby bardzo są nieraz ładne. Tu wymienić należy: przesłiczne miniatury na kości słoniowej, p. Łempickiej, bardzo ładną wystawę wyrobów p. Jądwiigi Kryszyńskiej, artystyczne malowanie na porcelanie p. Józefy Rodziewiczówny, takżeż okazy p. Sulatyckiej, wreszcie wystawę p.p. Nostitz-Jackowskich, Jastrzębskich, Bentkowskiej, Piechowskiej, Anny Wernerowej, i całego szeregu innych, którym na imię — legion.

P. Tokarzewska zawiadamia nas, iż szkoła jej, wskutek braku miejsca, nie mogła ustawić wszystkich okazów dla wystawy przygotowanych, przez co działalność jej nie w pełnym wykazuje się świetle. Tymczasem, jak widzimy,

jest ona dość rozległa; w zakresie bowiem, sztuki stosowanej, spotykamy tu: Gobelin, podług rysunku Andriollego, postaci rysowane z modelu, robota p. Pechkrantzówny. Dwa panneaux, malowane w kwiaty, przez tę samą uczennicę. Patera, kopia z obrazu Br. Wiśniwskiego, p. t. „Obiad,“ praca p. Lelewelówny. Dwie patery: maki i słoneczniki, p. Kobylińskiej. Ciekawymi są: stolicek i zydle, w stylu zakopańskim. Wogóle, należy się prawdziwe uznanie szkole p. Tokarzewskiej, za rozwijanie pracy uczennic, na tle motywów swojskich i ludowych. Wybiegają tylko po za jego ramy, ekran i panneaux, p. t. „Cztery pory roku,“ malowane podług akwarel, czeskiego malarza Muchy, osiadłego w Paryżu. Utwory te należą do tak zwanych „nowych kierunków,“ które jednak, nie zawsze odpowiadają starym pojęciom piękna. Bez względu wszakże, na nasz gust osobisty i indywidualne zapatrywania, zaznaczamy z przyjemnością, iż szkoła p. Tokarzewskiej nie zaniedbuje śledzić wszelkich nowych prób i pokuszeń, w zakresie malarstwa dekoracyjnego.

Pani Alicya Nowińska wystąpiła strojnij, a bogato, nie z utworami uczennic, lecz z pracami własnymi. Gobelin jej, *Les feux follets*, przedstawiający zamiast „Błędnymi ogników,“ eteryczne ciała niewieście, zwraca uwagę lekkością postaci, dobrym rysunkiem i szczęśliwie utrzymanym kolorytem. Szkoda, iż artystka nie nadmienila, według czyjego pierwowzoru rzecz tę skopiowała. Ładną jest również, teka jej do sztychów, z wypalaniem, naśladowaniem skórę kordowańską. Garnitur mebli, w guście wschodnim, z drzewa emaliowanego i parawanik na szkle, uzupełniają wystawę p. Nowińskiej.

P. Bronisława Poświkowa, zepsuła nam ładne swe zbiory, nader brzydkiemi francuskimi anonsami. Szkoda iż bardzo pięknie malowane fajanse, że gobeliny i meble szpeci nam tu kartka, najeżona błędami ortograficznymi. Mój Boże! nasz język taki piękny, taki bogaty, po cóż więc szukać do anonsu francuzczyzny, w której litograf, nieświadomy mowy Gallów, również śmieszne plata figle.

Pani Wiesiołowska, do rysunków technicznych, których wartość i zasługę podnosiliśmy już na tem miejscu, dodała własne akwarelle, malowidła na szkle i gazie. Te ostatnie, gwałtami wykonane, budzą sensację, wśród świata elegantek.

Streszczając wrażenia powyższe, dochodzimy do wyniku, iż szkoły malarstwa, w zakresie sztuki stosowanej do przemysłu, rozwijają się u nas coraz lepiej i dążą, z iście obywatelską wytrwałością, do wyrugowania z salonów naszych, nawału wyrobów zagranicznych. Liczne na wystawie, okazy i prace osób prywatnych, świadczą równocześnie, iż szkoły te szerzą wśród ogółu niewieściego, zamiłowanie piękna, znajomość rysunku i pracy. Z jednej więc strony, ubogim dają one w rękę środek zarobkowania, z drugiej, zamożniejszym pozwalają stroić własne mieszkania. Podnosi to, w główkach ich, poczucie dobrego smaku i harmonii, w sercach zaś, kult jaki każda kobieta powinna mieć dla własnego ogniska. Gdy ona dom swój zaczyna przyozdabiać, nie za pieniądze ojca lub męża, lecz własną pracą, z pewnością ściany jego stokroć miłsze jej będą. Kto zaś ów *home* własny, choć skromny, lecz jasny i święty moralnie, głęboko ukochać potrafi, kto pracuje dla niego i ku jego dobru, w jakikolwiek sposób, ten ma już w rękę, gotowy puklerz przeciw wielu pokusom, zniechęceniom i goryczom.

Podnosimy umyślnie wpływ estetyczny i etyczny, wywierany na młode dziewczęta przez naukę malarstwa i sztuki stosowanej, gdyż z niewiadomych, a logicznie biorąc mało zrozumiałych powodów, felietoniści jednego z pism codziennych, urządzili z racji wystawy, istną „naganke“ na panie i panienci, zajmujące się sztuką stosowaną i wogóle malowaniem. Czyżby owi felietoniści chcieli, aby, panie i panienci, z zamożniejszych domów, spędzały koniecznie cały czas na wizytach, plotkach lub chodzeniu, gwoli spaceru, tam i z powrotem po Krako-

wskiem - Przedmieściu? Rzeczywiście, byłoby to życie godne naśladowania, a zupełnie nie czeze, bo przecież, chodząc, mogłyby rozmyślać, jakby tu sprowadzić z Paryża lub Berlina, rozmaite artystyczne drobiazgi, do przystrojenia „polskiego ogniska rodzinnego.“

Tymczasem, proszę zobaczyć jakie są śliczne makaty na płótnie p. Gardiner, jaka ładna, specjalna wystawa p. Krysińskiej: półki, półeczki, teki, wypalane i nakładane farbami emaliowymi, ornamenty stylowe, naśladowujące kość słoniową, *panneaux* i parawany, malowane w kwiaty zakopańskie. A heliominiaturowe kopie z obrazów, p. Felicji Szamowskiej, a ta cała masa artystycznych drobiazgów, które tak życie umilają potrafią...

Nie, nie róbmy wojny sztuce stosowanej, bo to ładna broń w ręku kobiety.

Ze szkół fachowych kilka tylko przyjęło udział w wystawie. Najpiękniejsze i najoryginalniejsze wyroby przedstawiła szkoła rzemiosł przy ulicy Sliskiej, Nr. 28.

Zgromadzone w gablotach jej wyroby galanterii skórzanej i koszykarstwa, wykonane przez uczennice, wprost zdumiewają. Widzimy tu bowiem, w dokładnem, fachowem wykończeniu, to wszystko, co zwykliśmy kupować w pierwszorzędnych magazynach, jako drogie wyroby zagraniczne. Stylowe ramki, albumy, szkatułki, parawaniki, teki, portfele, bomboniere, wytrzymują konkurencją z najwytworniejszymi tego rodzaju okazami. Koszyczki „nicejskie,“ do robot i cukierkami są również lekkie, a ładne.

P. Wojewódzka przedstawiła bardzo dobre okazy pasmateryjne i dżetowe, nie zaznaczywszy jednak, czy są to wyroby uczennic, czy własne. Szkoła rzemiosł p. Przewoskiej, dała cały szereg doskonałych form papierowych; p. Skwarecka wystawiła regulator do mierzenia, suknie i okrycia damskie.

Wogóle jednak nauka rzemiosł słabo jest reprezentowana. Góruje po nad niemi szkoła fotograficzna pani Borkowskiej, która wystawiła ładny portret, wielkości naturalnej, kolorowany na fotografii. Nie artyzm to, ale rzecz bardzo mu pokrewna, a mogąca liczyć na szerokie zastosowanie.

Do zakładów wreszcie pedagogicznych, należy zaliczyć instytut Św. Kazimierza, na Tamce.

Sieroty wychowywane tutaj, pod zacnem, a dobroczynnem skrzydłami siostr miłosierdzia, otrzymują nietylko przytułek, lecz i fachowe wykształcenie. Od pierwszych ściegów, aż do artystycznych haftów, złotem i srebrem, do przepysznych robót kościelnych, wszystko to wykonywane jest ręką sierotek. Warto zaś zobaczyć i zakłady Św. Kazimierza i wystawione przez nie okazy, aby zrozumieć jak pożyteczną jest działalność „siostr białych,“ jak zbawieniem zamięłowanie i fachowa znajomość pracy, dawana przez nie, na drogę życia, maluczkiemu i wydziedziczonemu.

Anatol Krzyżanowski.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—*—

(Dalszy ciąg).

Herbata się ku końcowi miała, gdy w przedpokoju dzwonek się odezwał. Na wizytę za wcześnie było; może więc nadszedł list z poczty. Ale i to nie, bo wtedy droga jest przez kuchnię, o czem wiedział roznosiciel listów.

Janczewska otworzyła drzwi.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki!

Panna Jadwiga poznała głos Dudkowskiego.

— A—to pan!...—zawołała szybko.

Dudkowski ucałował podaną rękę—

— Cóż tam słyhać u pana? — spytała Jadwiga, a serce niepokojem zabiło, bo Dudkowski u Sośnickich nie bywał, ta wczesna zaś wizyta do myślenia coś dawać mogła. — Co słyhać u pana, panie Onufry?—powtórzyła—

— Nie dobrze!—odpowiedział szewc.

Lekka bladeś pokryła twarz Jadwigi.

— Anderek zasłabł bardzo, — rzekł Dudkowski,—bez przytomności mówi a żar, jak z pieca, bije od niego...

— Wezwał pan doktora?—spytała Jadwiga.

— Był, proszę pani—i mówi, że może tyfus wyklaruje się—

Jadwiga uczuła dreszcze. Po chwili rzekła:

— Tyfus?... nie! doktor pomylił się na pewno.

— I mnie się zdaje, co pomylił się... Ale—ja mam prośbę do pani od Anderka.

— Mówiłeś pan, że jest nieprzytomny.

— To też w nieprzytomności prosił, żeby pani przysłała... Gadał, co prawda, od rzeczy—mówił, że pani się gniewa, że chce panią przeprosić... „Tatus—odzywał się do mnie—poproście pannę Jadwigę niech przyjdzie, bo może ja jutra nie doczekam...“

Jakieś plamy ciemne zaczęły skakać przed oczyma Jadwigi, trzęsła się lekko, a coraz większy niepokój rósł w jej sercu...

— Poczekaj pan chwilę... pójdziemy razem,— rzekła poblądłemi usty.—Ubiorę się zaraz i wyjdziemy.

— Jadwisiu!—zatrzymał ją ojciec.

— Co—tatku?

— Dudkowski mówi, że to tyfus!

— Nie—nie...—odpowiedziała Jadwiga.

Otuliła się w futerko, ciepły kapelusz na głowę wzięła i wyszła.

Obok niej szedł Dudkowski.

Po wczorajszej zawiei, dzień był przesliczny. Raz wraz odzywały się dzwonki, sanki śmigły, słyhać było wesołe głosy jadących i głuchy tętent szybko pomykających koni. Jadwiga szła z głową pochyloną ku ziemi, krokiem pospiesznym—Dudkowski ledwie mógł zdążyć za nią.

— Jest?—zapytał Andrzej wchodzącego ojca.

— Zaraz zobaczysz panienkę, rozbiera się i przyjdzie—

Na widok wchodzącej—Andrzej uniósł się na pościeli, oczy rozwarł szeroko a spieczone usta gorączką coś zaczęły szeptać niewyraźnie—

— Tatus—ostaw nas!

Stary za drzwi wyszedł.

Jadwiga podeszła do chorego.

— Co tobie jest, chłopcze?—spytała, siadając przy nim—

— Choroba ze strachu, choroba ze zmartwień, choroba... z miłości.—wyszeptał ledwie do słyszanych już głosem.

Ujął rękę Jadwigi i do gorących warg przyciskał...

— Czy panna Jadwiga nie gniewa się na mnie? przebaczyła mi? czy do nas będzie przychodzić?...

— Czy zapomniałeś co tobie mówiłam wczoraj?

— Pamiętam... Ale gdy panna Jadwiga wyszła, taki mnie strach ogarnął, że rady sobie dać nie mogłem. Chciałem biedz nad rzekę i z mostu się rzucić—ale żal mi było umierać, nie zobaczywszy raz jeszcze panny Jadwigi... Później gorączka zwałała mnie na łóżko, straszły sny, a gdy obudziłem się z rana, prosiłem ojca, by poszedł do panny Jadwigi i poprosił ją, by przyszła tutaj... I panna Jadwiga przyszła—i panna Jadwiga nie gniewa się?...

— Nie gniewam się—nie—nie! I przychodźcie będę i będę zawsze tak samo dobra, jeżeli byłam dobra—

Andrzej przyłożył rękę dziewczyny do czola rozpalonego—

— Dobra... bardzo dobra!... — wyszeptał. — Ale—ja o coś jeszcze mam prosić—prosić o przebaczenie jeszcze jednej winy.

— Mów—przebaczę wszystko— —

— Pamięta panna Jadwiga... Było to... Nie wiem już kiedy. Panna Jadwiga rozmawiała z panem Pawłem, Janczewska weszła i zobaczyła oczy czyjeś patrzące na pannę Jadwigę i pana Pawła... Pewnie myślała, że złodziej patrzył, na dziedziniec wyszła... Później pannie Jadwidze musiała o tem mówić — prawda, że mówiła? A to—ja byłam...

— Ty?—spytała panna Sośnicka.

— Ja—wyszeptał Andrzej, podnosząc spojrzenie błagalne...

— I na coś to zrobił, panie Andrzeju?...

— Coś mnie ciągnęło—ale... już tego nie będzie, nie będzie... tylko niech się pani nie gniewa—

Jadwiga pochyliła się i pocałowała go w czoło, na znak przebaczenia—

Andrzej pochwycił jej obie ręce i zaczął pocałunkami okładać. Łzy z oczu mu ciekły, ale czuł, że mu siły wracały, że choroba gdzieś uciekła, spłoszona tym pocałunkiem siostrzanym.

Upewniwszy się, że w sercu Jadwigi najmniejszego już gniewu nie było—Andrzej odechnął głęboko i jasnemi spojrzał oczyma. Jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej, rozpalone czoło ochłodziło, usta zwilgotniały, tylko serce biło silnie i szybko pierś falowała. Gdy wszedł Dudkowski, Andrzej zwrócił się do ojca i głosem silnym odezwał się:

— Tatusz, ja już zdrow jestem!...

Jadwiga podniosła się z siedzenia—

— A widzisz pan, — rzekła z uśmiechem do Onufrego, że ze mnie najlepszy jest doktor?...

Onufry nie wierzył oczom swoim— Andrzej uśmiechał się przytomnie a żadnego już śladu gorączki nie było.

Stary Dudkowski nie wiedział, co było przyczyną nagłej choroby syna. Uzdrawienie jego wziął za cud, który przez Jadwigę się spełnił i gdy odchodziła, ze złością zabobonna patrzył na nią.

— Dziś wieczorem, jak zwykle, przyjdę na lekcję, niechże mi tylko pan Andrzej zdrow będzie,—zwróciła się w drzwiach do uzdrowionego.

— Niebo! czar!—wyszeptał Andrzej—

— To ona i na chorobach zna się?— rzekł Onufry, zostawszy sam z synem.

— Zna się!—odpowiedział Andrzej, nie spuszczać oczu z drzwi za którymi znikła Jadwiga.

Na ulicy spotkała się z Pawłem.

— Uwielbiam panią, — rzekł, sciskając rękę panny Sośnickiej.

Jadwiga dłoń usunęła.

— Panie Pawle!—rzekła.

— Czy mi nie wolno nawet uwielbiać pani?...

Jeżeli o czem innem mówić nie mam prawa—to, choć o uwielbieniu, pani nie może mi zabronić—czy nie tak?...

— Na słowa podobne nie zasłużyłam wcale.

— Więc chcę się mylić—czy pani ta omyłka szkodzi?...

Jadwiga uśmiechnęła się.

— Błąd wielki, prędzej czy później, poznany zostaje i następuje rozczarowanie.

— Zmień pani nieco ostatni wyraz.

Jadwiga spojrzała na Pawła.

— Oczarowanie,—dodał.

— Chyba jeszcze pan nie jesteś oczarowany?—rzuciła Jadwiga z uśmiechem.

— Tak—tak...—podchwycił szybko Paweł.—

Nie omyliłaś się pani—tak, jestem nim i zostanę... Z uśmiechem pani wypowiedziałaś to słowo, lecz ono szczerą prawdą tchnęło, tak szczerą jak moje w tej chwili... I wiem, że pani im wierzysz, tylko—odpowiedzieć nie chcesz... Nie mogę,—szepnęła.

— Dziś—ale kiedyś?...

Z uczuciem uściskała drobną rączkę i przeszedł szybko na drugą stronę chodnika.

I znowu „kiedyś“ zabrzmiało w duszy Jadwigi, jak niewzruszona przepowiednia jakaś, która ją dziwnym strachem napełniła w tej chwili... Kochają, szaleją za nią—tylko ten, do którego ramiona wyciągnęłaby, na któregoby pierś głowę oparła—nie jest tutaj. Poczula smutek ogromny i ciężar, który w głębi duszy się jej ułożył.

Bacne oko matki zauważyło zmianę w twarzy Jadwigi—

— I cóż, Jadwisiu?—spytała z niepokojem pełnym,—jakże się ma Andrzej Dudkowski?

— Tyfus?—dodał ojciec.

Panna Jadwiga zbudziła się.

— Nic—ma się lepiej,—rzekła.

— Dziś już nie pójdziesz do nich?

— Pójdę, ojciec—Andrzej jest już zdrow prawie— Przemijająca to była jakaś gorączka—lekarz się nie poznał, ja poznałam i uleczyłam... Zaczęła śmiać się, lecz łzy napływały jej do oczu.

Po chwili wyszła do Fokiewiczów, z którymi teraz zrywać zamiaru nie miała.

Pani Porczyńska, otrzymawszy list Jadwigi, czuła się niemile dotknięta w dumie swojej, choć panna Sośnicka tłumaczyła się szczerze dlaczego nie może się zgodzić na warunek jej postawiony. Bogata pani nie mogła zrozumieć myśli, jaką się rzuciła Jadwiga, podjęte przez nią zadanie, wydawało się utopią,—bodaj, czy nie karygodną nawet. Ona tylko widziała siebie i—szewca. Wybór ostatniego, upokarzał ją.

Po rozmowie w cukierni, pani Porczyńska rzecz całą uważała za załatwioną zupełnie. Rada była niezmiernie, że jej Emilka będzie miała nauczycielkę tak ślicznie r francuzkie wymawiającą. Nieomieszkała zabiedz na chwilę do Kamenckich i pochwalić się otrzymanym zwycięstwem. Wieczorem, dnia tego, na licznym zebraniu u siebie, powiedziała także o umowie zawartej z panną Sośnicką. Zwróciła uwagę obecnych na przeszłość Sośnickich, na okoliczności, jakie zmuszały ich pozbyć się majątku, na to wszystko, co tylko mogło podnieść, nigdy poniżyć rodzinę upadłą. Panna Sośnicka na innym zupełnie stanowisku, niż nauczycielka zwykła stać miała. Świadczyło już o tem, choćby honorarium przeznaczone przez panią Porczyńską, która, wejście do domu swojego Jadwigę, uważała za „evenement“ bardzo pomyslny. Od tej chwili, w oczach znajomych i przyjaciół Porczyńskiej, panna Jadwiga o całą piędź wyżej urosła.—Niejeden z domów zamożnych, chciał także mieć pannę Jadwigę u siebie, jako nauczycielkę do swoich dzieci. Zbyszających godzin kilka od zajęć z Emilką, chętnie by poświęciła Jadwiga, a że przykład takiej pani Porczyńskiej był zaraźliwy—o mniejszem nikt już nie myślał wynagrodzeniu. Z tem się także łączył i *obowiązek obywatelski*, głośno podnoszony przez Porczyńską, by pomódz rodzinie. Panna Jadwiga była na ustach wszystkich i wieść lotem błyskawicy rozbiegła się po miasteczku o stanowisku, jakie zajmie Jadwiga w domu powszechnie szanowanej damy. Zaczęto sobie przypominać o zapomnianych zasługach pana Mateusza; ten i ten już się wybierał w odwiedziny do państwa Sośnickich, gdy oto nagle list Jadwigi wszelkim nadziejom kres położył.

Jak zrazu szybko wieść się rozbiegła o przyjęciu przez Jadwigę miejsca nauczycielki, tak teraz równie szybko gruchnęła o odmowie, a właściwie, o nieprzyjęciu warunku, który wymagał zerwania z Onufrem Dudkowskim.

Przyczyna podawana w liście nie przekonywała nikogo: coś innego być musiało, o czem, oczywiście dowiedzieć się potrzeba.

Porczyńska leżała jeszcze w łóżko, gdy służąca przyniosła zawiadomienie Jadwigi.

— Zapewne od dziś rozpocząć życia sobie lekcye—szepnęła, rozdzierając szpilką, wyjętą z włosów, kopertę.— Zbudź panię—zwróciła się do pokojówki i powiedz, że nauczycielka za chwilę przybędzie...

Nagle skoczyła na równe nogi i list zmięty cisnęła o ziemię...

Zrazu nikt nic nie wiedział, co się stało—Porczyńska poczuła duszność w piersi i kazała konie do powozu zaprzęgać. Przejeżdżając szybko ulice miasta, dostrzegła Jadwigę idącą z Onufrym. Nie do sklepu zaszła, lecz przez dziedziniec, bocznymi drzwiami do mieszkania szewca...

Myśl jakaś potworna zrodziła się w mózgu obrażonej damy.

— Rendez—vous jakies... Aa!... Dudkowski zapewne jest w porozumieniu.—Aa! rendez—vous!...

I choć nie nic mówiło za słusznością podejrzania, myśl ta, jak owad natrętny, uczepiła się pani Porczyńskiej; odganiana, powracała uparcie, przybierając coraz wyrazistsze kształty, tak, że w końcu zamieniła się w domysł nie ulegający żadnej wątpliwości.

Aczkolwiek obrażona, była jednak o tyle sumienną pani Porczyńska, że domysłem swoim z nikim nie podzieliła się. Przez zaciśnięte usta powiedziała tylko o spotkaniu panny Jadwigi z towarzyszącym jej szewcem. Każdy już sobie dopowiedział w duszy swojej, co miał za najważlicisze do dopowiedzenia i oto nagle, wczoraj podnoszona rodzina Sośnickich do wyżyn, dzisiaj upadła tak nisko, że ledwie z litością spojrzeć na nią można było. Zasługi pana Mateusza zmalały nagle, nikt już nie myślał o odwiedzinach ani o pomocy dla współobywatela, nad którym tak się srogo losy zemściły. Jedno: aaa! zgorzenia dało się słyszeć, ale nikt, zapytany, dokładnie powiedzieć by nie umiał, dla czego się gorzy.—Laminowski, lypnął oczyma, Paweł brew zmarszczył, słysząc oburzenie pani Porczyńskiej, Marynia Kamencka przygryzła lekko wargi, Helena tylko dowiedziawszy się o zgorzeniu się wielkiej pani; — krótko a wężłowato rzekła:

— Oślica!

Pani Porczyńska była w Szarogrodzie powagą. Spowinowacona z najarystokratyczniejszemi domami, sama w herbie hrabiowską mitrę mająca, wyszła za pana Feliksa Porczyńskiego, dziedzica rozległych dóbr na Wołyniu, przynosząc mężowi w posagu kilkakroćtysięcy rs. gotówką. Po kilkoletnim szczęśliwym pożyciu, niebo pobłogosławiło ich córką, ale nieszczęśliwy wypadek na polowaniu z panem Feliksem, którego koń przygniótł, był przyczyną jej wczesnego wdowieństwa. Po stracie męża całą miłość swoją na córkę przelała i przeniosła się na mieszkanie do Szarogrodu z ośmiu czy dziesięcioletnią Emilką, dalsze plany wychowania jedynaczki odkładając napóźniej.

Przybycie do powiatowego miasteczka bogatej pani nie miało być wypadkiem dla Szarogrodzian. Zamożniejsze domy oczekiwały wizyt, przystrajały się nawet świąteczniej, oczekując pożądanej chwili, w której pokoje pani Porczyńskiej otworzą się... Młoda jeszcze i urodziwa wdowa nie miała zamiaru odosobnionego życia prowadzić, wkrótce więc napełniły się jej salony towarzystwem wyborowem, a przyjęcia były świetne, zastawa stołu obfita, uprzejmość zaś gospodyni podbiwała serca wszystkich. Dom pani Porczyńskiej stał się najpiękniejszym w mieście. Jeżeli artysta jaki przyjeżdżał do Szarogrodu z zamiarem dania koncertu—obowiązkowo musiał złożyć wizytę pani Porczyńskiej, muzyką przyjemnie wieczór w jej domu, czego dokonawszy, był już powodzenia pewny.

Na salonach pani Elizy zbierali się ludzie nie koniecznie do jej sfery należący. Porczyńska zapoznała się z Kamenckimi, nie ominęła kuzniekców, pana Pawła nawet wyróżniała od innych, miała zamiar być u Sośnickich, ale postępek Jadwigi oburzył bogatą damę, co jednak nie przeszkadzało posłać na raut jakiś zaproszenia panu Aleksandrowi. I Aleksander zaczął bywać w domu pani Elizy, gdy tymczasem Paweł usuwał się powoli od chwili szeptań jakichś ubliżających pannie Sośnickiej.

Postępek ten Pawła miłym był Jadwidze, lecz Marynia Kamencka uczuła się nim dotknięta, tembardziej, że od pewnego czasu widocznie unikał spotkania się z nią sam na sam, do altany nie zachodził, choć ścieżka do niej była starannie ze śniegu oczyszczona i ławki zmiecone. Przechadzając się po ogrodzie, panna Marynia dość często zachodziła do niej, przysiadła w niej czasem, uparcie patrząc w okna mieszkania Pawła.—Niewidzieć jej nie mógł; gęste liście powoju otaczającego altanę pod tchnieniem mrozu opadły już dawniej; przechadzał się zresztą

nieraz po ogrodzie, lecz kroki swoje winną stronę kierował. — Do Kamenckich zachodził tylko w dzień przyjęć — spotykał wtedy Jadwigę; mówił z nią niewiele, w ogóle niewiele mówił.

Tymczasem położenie Sośnickich, pogorszało się z dniem każdym. Daremne były wszelkie starania Jadwigi — żadnego zajęcia nigdzie znaleźć nie mogła. Zebranych rubli kilkanaście na futerko dla matki, musiało pójść na wydatki codzienne — to ją bolało. Dochodziły do niej wiadomości o zapotrzebowaniu tu i tam nauczycielki — nie zgłoszono się jednak do niej. Zadając więc pewien gwałt sobie, udawała się sama. Zrazu przyjmowano ją chętnie, dowiedziawszy się dopiero o nazwisku — sznurowano usta i Jadwiga słyszała znane już, a niechętne:

— Nie — nie...

Nieraz, wchodząc, przedstawiała się od razu — to jednak nie robiło żadnego wrażenia. Nazwiska... niby nie dosłyszano. Po zgodzeniu się dopiero na warunki zawsze bardzo dogodne — rzucano pytanie:

— Ale — nie dosłyszeliśmy nazwiska pani...

— Jadwiga Sośnicka.

— Aa!... bardzo miło — zawiadomimy panią. Jadwiga wiedziała już dobrze na czem owo „zawiadomimy“ kończyło się. — Była to widocznie zemsta, może niewinnie podsunięta przez panią Elizę.

Coś zakipiało we wnętrzu Jadwigi, oburzenie gniewu gołębiem poruszyło jej sercem. Chciano ją złamać, pokonać, a im więcej pewną tego była, tem większy upór w niej się rodził, tem wyżej głowę podnosiła, a jeśli spojrzała na kogo, to ten na kim wzrok jej spoczął, czuł, jakby ukłucie sztyletu, tyle pogardy, a czasem politowania w tem spojrzeniu było... Bądź co bądź, każdy w głębi swej duszy większym lub mniejszym czuł się winowajcą. Przed własnym sumieniem upokorzyć się musiał i to gniewało. Kazuistyka przychodziła w pomoc, wykrętna logika dłoń jej podawała i — rodziła się nienawiść. Nienawidzono kolor biały, bo był przeciwieństwem czarnego; nienawidzono promień słońca, bo cienie łamał w kształty potworne. Uczciwsi bronili półgłębkiem, ale położywszy na szalę stosunków: Sośnickich i Porczyńską — z westchnieniem do ostatniej od pierwszych biegli. Nie było jednak zuchwalca, któryby śmiał w czemkolwiek ubliżyć Jadwidze. Kobiety rozbrajała dobrocią, mężczyzn pięknością. Piękność — potęgą jej była. Gdyby znalazł się ktoś, któryby jawnie stanął w obronie Jadwigi — pociągnąłby łatwo za sobą tłum. Lecz każdy oglądał się poza siebie. Niejeden nawet z młodzieży, pociągnięty wdziękami nauczycielki, przekroczył nieśmiało próg domu Sośnickich lecz przed Porczyńską nie wspominał o tem, a zapytany, wykręcał się jak umiał, z lekceważeniem mówiąc o nowozawianym stosunku. Działo się to zresztą w czasach, w których, uczciwsi lub silniejsi dzielili los Gustawa — zostali tchórzliwsi.

Jadwiga coraz częściej zwracała się myślą do ukochanego, ramiona duszy wyciągała ku niemu, krzyżąc sercem zboleć:

— Wracaj! wracaj! wracaj!...

Obracała się wśród tłumy ludzi, a zabijała ją samotność. Czasem ogarniała ją taka niezmierna tęsknota, że czuła potrzebę jakiegoś wiru, szalu, któryby ją wyrwał z odrętwienia. Wtedy szukała towarzystwa Pawła i rada była gdy nadszedł; wtedy dłużej zostawała u Dudkowskiego, rozpalając młode umysły do czynów wzniosłych, hartując dusze i serce czerpanemi z dziejów przykładami. A kółko słuchaczy powiększało się z dniem każdym i za ciasno już było w izbie szewskiej.

Andrzej, jak zwykle, stał oparty o futrynę okna i rozplomienionymi oczyma patrzył, chwytając słowo każde, każdy szepst ust panny Jadwigi. Gdy odchodziła, zbliżał się z oczyma wlepionemi w jej oczy, pochylał się i gorący pocałunek w znak podzięką na rękę jej składał. Nie zatrzymywał już tylko, nie zostawała już i Ja-

dwiga z nim sama. Zauważyła jednak, że czoło Andrzeja zbladło, twarz zmizerniała, a duże, czarne oczy trochę w głąb zapadły.

Razu pewnego zbliżyła się do chłopca i rzekła:

— Powiedz mi otwarcie — czy nie jesteś chory?

— Nie jestem chory — odpowiedział...

— Okrutnie zbladłeś, mój chłopcze

— Pracuję. — —

I więcej nie powiedział nic.

Ale Józiek zdradził tajemnicę brata przed Jadwigą.

— Anderek, panno Jagulko, po nocach całych nad książkami siedzi i czyta, czyta i czyta. Ja słyszałem raz jak on do tatusia mówił: „Równości między nami niema.“ — To jest, niby między nim a panną Jagulką. — „Więc mówił — zrównać się chcę z nią nauką. Niech mnie szanuje, szanuje bardzo...“

Andrzej więc pracował po nocach, o władnęła nim gorączka dorównania Jadwidze na polu wiedzy, by później mógł jej powiedzieć:

— Jestem twojem dziełem, twojem dziećciem duchowem — kochaj mnie!...

Biednemu chłopcu paliła się głowa, paliło się serce — czuł, że gdyby mu z przed oczu ten czar jerge, to jego niebo zniknęło — zmysły by postradał.

Wieczory przepędzane u Dudkowskich, najrozkoszniejszymi były chwilami dla Jadwigi. Nie liczyła godzin, które biegły szybko, a biegnąc szybko zbliżały ją wciąż do Gustawa. Jakas wewnętrzna trawiła ją gorączka pośpiechu; upojona, jakby po zażyciu narkotyku, wracała do domu i tu dopiero oiewał ją chłód, otrzewienie się bolesne, strach nieraz.

Ze wszystkich kątów patrzyła — bieda...

I wysuwały się z nich czasami mary jakies, a każda z mar tych na ustach wyrzut jej niosła... Ojciec nieraz kulił się pod piecem i zziębłe ręce zacierał, ramiona matki wstrząsały się od zimna, a Janczewska szeptała do ucha:

— Jadziuniu — na jutro drew niema!

W pokojach było zimno, para z ust unosiła się w powietrzu, a termometr, pokazywał nieraz osmnaście stopni niżej zera.

Jadwiga czuła jakies drętwienie serca, niejednokrotnie dochodziła do szalu postanowienia, ażeby uczuć się zwyciężaną. Słyszała wtedy okrzyk tryumfu pani Porczyńskiej i całego złączonego z nią „Towarzystwa“ — rozumiała wielkość ofiary, okropność poddania się — ale — nie było innego sposobu ratunku. — Lecz wtedy przesładowały ją głosy dziecięce:

— Dlaczego opuściłaś nas?

I tłumaczyła się w myśli przed niemi: — Ale oto dzwoniło wyraźnie przykazanie Gustawa:

— Ukochaj maluczki, słońcem bądź umysłu ich i serca — na nich spoczywa przyszłość!

Wstrząsała się — wracała siła ducha i postanowienie zwycięstwa.

Zwycięstwo!

Czuła całą potęgę tego wyrazu.

Na myśl jej przyszedł Oleś...

Nie obce były Jadwidze stosunki, jakie obecnie miał Aleksander. — Ajentura przynosiła mu ogromne dochody, powiatów kilka ubezpieczało się tylko u niego, nawet pani Porczyńska zaasekurowała budynki wszystkie i posiewy swych dóbr rozległych. Przed paru dniami wygadał się także Oleś, że Jacus Meski, z pozostawionemi mu pieniędzmi dobrych parę obrotów na giełdzie zrobił. O tem Szarogrodzianie wiedzieli i pan Aleksander rósł w znaczenie i wpływy.

Nie miała zamiaru Jadwiga o pomoc pieniężną do brata się udać — wiedział przecież jak jest, przesiadawszy nieraz dłużej w mieszkaniu rodziców zacierał ręce i mówił:

— Ależ u was psie zimno!

Chciała tylko przez jego stosunki i wpływy zajęcia jakies znaleźć — tego tylko chciała.

Zastala brata siedzącego nad rachunkami i palącego cygaro.

— Przeszkadzam? — spytała wchodząc.

— Mnie zawsze się przeszkadza, lecz gdybym na to zważał, nie mógłbym ani rozmawiać, ani

widywać się z ludźmi. — Dzień dobry ci Jadwisiu!...

Jadwiga pocałowała brata, usiadła przy nim i w krótkich słowach opowiedziała o przyczynie swojego przybycia.

Aleksander skrzywił się.

— Nawarzyliście sami piwa, a później po ratunek przychodzicie.

— Nie rozumiem ciebie, Olesiu!

— Miałas przecie wyborne zajęcia u Porczyńskiej.

— Wiesz dlaczego nie przyjechałam.

— Ha! przeniosłaś... szewców — rzucił przez zęby Aleksander.

Panna Jadwiga spojrzała w twarz brata.

— Przeniosłam, Olesiu — pracę u podstaw... rzekła także z przyciskiem...

— Nasamprzód trzeba o własnej rodzinie myśleć — mruknął niechętnie Oleś.

— Utrzymuję ją według sił moich.

— Więc czegoż chcesz?

— Powiedziałam ci.

— Ja nie pomódz nie mogę.

Jadwiga odezwała się nieśmiało.

— Myślałam, że mnie pochwalisz, ty, Olesiu, który mówiłeś nieraz, że ludzie przeszłości nie dbali o gmin, że do gminu potrzeba się zniżyć, zanieść tam serce swoją i wiedzę, ideę dobra ogólnego postawić wyżej nad... nad dobro rodzinny nawet.

Aleksander wziął gorączkowo numer nowego pisma i uderzając po niem ręką rzekł:

— Nie sprzeniewierzyłem się zasadom. Oto masz numer pierwszy naszego tygodnika. — Czytaj, co piszę.

— Ja robię — odpowiedziała Jadwiga.

— A zatem? — rzekł brat...

— Poświęcając się idei — zapomniałam trochę o rodzinie — szepnęła.

— Moja droga! — zawołał Aleksander — dwóm bogom służyć nie można. — Miałas i masz wybór!

— Jakiemuż ty służysz bogu?...

— Czytaj! czytaj! odezwał się znowu Aleksander, podsuwając Jadwidze tygodnik.

— Nie, Olesiu!... Mówmy lepiej — ale wyraźniej... Rodzice nasi są w biedzie, wspólnemi siłami pomagać im musimy. — Teraz nieźle ci się dzieje...

— Miliony mam, miliony! — zawołał Aleksander... Co wam się śni? co wam się marzy?

Jadwiga podniosła się.

— Do widzenia, Olesiu!...

Miała już wyjść, gdy brat ją zatrzymał.

— Wieleż tam ci potrzeba? Dziesięć, dwa dziesięcia?...

— Chciałam tylko rady twojej — pomocy i wpływów.

— Pogodź się, moja droga, z Porczyńską.

— Do widzenia, Olesiu!...

— Skłoniła się i opuściła pokój brata.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z WALK DZIEJOWYCH.

Teodor Jeske-Choiński: OSTATNI RZYMIANIE, powieść z czasów Teodozyusza Wielkiego. Dwa tomy. Warszawa nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

(Dokończenie).

Srogie to było upomnienie. Sędziwy król bogost staje przed młodzieńczym imperatorem a znieważony przez niego, wypowiada mu posłuszeństwo. Scena ta, dziejowo wierna, aż do najdrobniejszych szczegółów, nakreślona zosta-

z wielką siłą. Król Arbogast, opierając się na miłości legionów, zrzuca z tronu Walentyniana i karze go śmiercią przez powieszenie. Gdy wojsko obwołuje go w zamian imperatorem, odtrąca wprawdzie koronę, lecz każe ją włożyć na głowę Eugeniusza, naczelnika swoich pisarzy. Chciwy władzy starzec, sadzał rozmyślnie na tronie rzymskim swego sługę, by rządzić za niego, nie łamiąc jednak przysięgi, mocą której zobowiązał się wobec Teodozjusza Wielkiego, iż sam nigdy po berło imperatorskie nie sięgnie.

Państwo zachodnie, dzięki wpływowi Arbogasta, nawskroś pogańskie, staje do walki z imperatorem Wschodu, Teodozjuszem. Na przygotowaniach upłynęły dwa lata. Ku Alpom Julijskim ciągną: Arbogast, na czele sił zbrojnych Hiszpanii, Gallii i Brytanii. sprzymierzeniec jego, Flawianus, z wojskiem Italii, oraz Teodozjusz, prowadzący: Gotów, Alanów, Hunów, Greków i Saracenów.

„Dwie cywilizacje miały stanąć do boju ostatecznego, dwie epoki miały objąć się w śmiertelnym uścisku. Na sztandarach imperatora błyszczał monogram Chrystusa, — na chorągwiach Arbogasta i Flawiana zachęcał pogan do męstwa, młody Herkules, trzymający jelenia Dyany za złote rogi.

Stary i nowy porządek szły naprzeciw sobie...“

Następuje starcie a zarazem najpiękniejszy rozdział powieści, istny rapsod rycerski. Słyszysz chrzęst zbroi i dzikie okrzyki, widzisz bitwę nieledwie. Zniewieścieli Rzymianie idą w rozsypkę; wódz ich, Flawianus, pod brzemieniem sromu, ginie rozmyślnie—Chrystus i Teodozjusz!—wołali Gotowie—Jowisz i Eugeniusz!—odpowiadali Frankowie. A hasło to znaczyło zagładę jednego z dwóch walczących światów. Pierwszego dnia zwycięża Jowisz; 10,000 Gotów, nie licząc Iberów, Hunów i Saracenów, zaszła równinę. Teodozjusz, zrozpaczony, błuźni Chrystusowi, a oprzytomniawszy, ucieka się do zdrady i ofiarowuje, przez szpiegów, godność komesa Gallii, Arbitriowi, wodzowi Arbogasta. Młody trybun, znieważony niegdyś czynnie przez starego króla i pałający zemstą, przystaje. Nazajutrz, bajeczny wichur i zdrada Arbitria pokonywają wojska pogańskie. Wobec rozsypki ich, stary król Arbogast odbiera sobie życie.

Poganizm ostatnie wydał tchnienie. Wojewoda Italii, fanatyczny Winfridus Fabricyusz, dostał rozkaz zatknięcia krzyża na wszystkich bałwochwalczych świątyniach Rzymu. Dla czego zaś ten akt przewrotu dziejowego tak bardzo leżał mu na sercu, dowiemy się zaraz, z fabuły romantycznej, na której autor powieść swą osnół.

Bo krwawe zapasy chrześcijaństwa z czią dla Jowisza, to — jak powiedzieliśmy — w wykonaniu *Ostatnich Rzymian* powód jedynie, do zapoteozowania idei patryotyzmu i walki o byt narodowy.

Konsul Aureliusz Symmachus, rządzący Rzymem pogańskim pod koniec IV-go wieku po Chr. chcąc wzmocnić węzły przyjaźni z prefektem Flawianem, poślubił córkę swą Gallę, jego synowi. Na wspaniały obrzęd, łączący dwie możne i zasłużone rodziny, zebrało się wszystko, co tylko Rzym posiadał wybitniejszego. Po dokonaniu obrządków religijnych, Symmachus, wraz ze wszystkimi swymi gośćmi, tworzącymi olbrzymi korowód, odwozi córkę swą, do nowego jej domu.

Tłum chrześcijan, podrażniony bogactwem tego pogańskiego obrzędu, którego wystawność uważa za naigrawanie z siebie, rzuca się na orszak i znieważa kapłankę Westy. Wśród wynikłego ztąd starcia, padają trupy po obu stronach.

Patryotyczno-pogańskie uczucia Rzymian zostają do głębi poruszone zniewagą, jakiej doznał obrządek ich religijny i wszystkie rody udział w nim biorące. Pogrzeb, niespodzianie poległych ofiar, pogrzeb bardzo piękny i wstrząsający, zamienia się w wielką manifestację narodową. Zakończenie, w którym Symmachus, westalki,

senatorowie i lud, błagają Jowisza o zmiłowanie nad upadającą ojczyzną, porusza o struny drogie sercu każdemu, a porusza wymownie.

Na tak gorące jednak manifestacje uczuć narodowo-pogańskich, nie mógł patrzeć obojętnie, Fabricyusz, wojewoda Italii, przysłany tu po to, przez imperatora, aby uczucia te stłumił. Zarliwy i nieugięty fanatyk, drażni on ludność swą bezwzględnością; każe zacierać freski, chociaż są one dziełami sztuki i świętą dla Rzymian pamiątką, rozbija oskardem bezcenne mozaiki, dla tego jedynie, że przedstawiają sceny z mitologii. Doprowadziłby też bezwzględnością swą naród do rozpaczego wybuchu, gdyby nie miłość szalona, jaka się budzi w sercu jego, dla pogańskiej kapłanki, poświęconej czei Westy.

I oto, dwie idee, dwa odrębne duchowe pierwiastki, dwa światy, stają upostaciowane naprzeciw siebie. Walka ich, to walka pierwotnych instynktów ciemności, nie przebijającego w środkach, z niezłomną potęgą obywatelskiej cnoty i patryotyzmu. Niestety, chrześcijanin jest tu drapieżcą, a poganka posagowem uosobieniem wielkiego charakteru i duszy tak czystej, jak ów znicz święty, którego strzedz poprzysięgła.

Jedną z efektywniejszych scen tej walki, jest świętokradzkie wtargnięcie Fabricyusza do Atrium Westy. Zakrada się tu w nocy, by u ołtarza bogini wyznać miłość swą westalce. Przemawia do niej z poezją i ogniem, niezwykłym u Choinńskiego. Fausta wie, że, za spotkanie to, grozi im obojgu śmierć na polu hańby, ale czuje również, iż — wydać go nie potrafi... Zbyt jest na to kobietą, zbyt ją wzrusza uczucie potężne a nieustraszone. Broniąc się więc przed własną słabością, chwytą za zawieszony przy ołtarzu święty miecz Cezara. Na ruch ten, wojewoda Italii oznajmia, że doprowadzony do rozpacz, ją i siebie zabije. Niechaj znajdą jutro dwa trupy, krwią złączone, u stóp bogini czystości i znicza narodowego.

— A więc zabij, jeżeli twój Bóg pozwala przelewać krew kobiety! — woła Fausta i tem go zwycięża. Winfridus opuszcza Atrium, unosząc z sobą tajoną miłość Fausty, która popełnia zdradę stanu, bo w obawie, iż lud rzymski rozszarpałby śmiałka, zataja zajście przed zwierzchnością świątyni.

Traci on jednak prawo do miłości tej, gdy porzywa Faustę za pomocą wynajętych zbrodniarzy, gdy więzi ją w górach i zbliża się ku niej po trupach, po przez krew, łzy i żalobę. Lud rzymski dowiaduje się wreszcie, kto go znieważił, kto zbezczeszczył jego świątynię, wykradzeniem westalki. Fabricyusz ucieka przed jego zemstą i ukrywa kapłankę, w pobliżu Wienne, pod bokiem samego imperatora. Ale ten „boski i wieczny pan,“ zostaje wtenczas właśnie, powieszony przez Arbogasta.

Wojewoda Italii więc, tracąc ostatnią podporę, a gnębiony groźbą kłatwy kościelnej biskupa Ambrozyusza, zwraca wolność Fauscie-Auzonii. Rozmowa ich ostatnia mogłaby być kulminacyjnym punktem powieści, gdyby nie kazania religijne, jakie on najniepotrzebniej w takiej chwili jej prawi.

Gdy wreszcie, w dwa lata później, wojska Teodozjusza niweczą pogaństwo, wojewoda Italii niesie z radością do Rzymu rozkaz zamknięcia świątyni. Fausta bowiem, zwolniona teraz, mocą woli imperatora, ze ślubów Westalki, stanie się na zawsze jego własnością. Wojewoda ma własną ręką unicestwić ogień Westy. Kapłanka wie o tem, kocha go i czeka na stanowisku, przy ołtarzu... Czeką, by, w odpowiedzi na jego groźby i oświadczenia miłosne, zapewnić, iż znicz narodowy może tylko zagasić krew ostatniej Rzymianki.

Pochyliła się nad płomieniem i, zatopiwszy sztylet w sercu, krwią tryskającą z niego, stłumiła na zawsze ogień Westy, na usta jej zaś, wtedy dopiero wybiegło: Kocha...łam...cię...

Fabricyusz udał się wpost do biskupa Syrycyusza, a złożywszy u stóp jego oznaki godności

cesarskiego namiestnika, zaciągnął się między małuczkich i ubogich, poświęcających życie służbie kościoła.

* * *

Taką jest podwójna treść powieści „Ostatni Rzymianie.“

Bogate tło historyczne i zajmujący, o wysokim, dramatycznym napięciu, wątek samej bajki, podnoszą utwór ten o wiele nad popollitą miarę. Początek, w którym każdym rozdział jest skończonym obrazem i stanowi zamkniętą w sobie całość, wprost podbija czytelnika. Niestety, po owych wspaniałych zaślubinach córki Symmachusa, po rozruchach ulicznych i pogrzebie poległych, werwa autora uległa widocznemu znużeniu. Skusiła go przytem chęć odmalowania wszystkich warstw społecznych i — robotą naciągana zaszkodził całości, jednolitości dzieła. Prócz bardzo pięknych, wstępnych rozdziałów, cały pierwszy tom nuży a nie zostaje w pamięci. Ani Poreya, szablonowa naiwna, ani wybory na biskupa, w Comum, zbyt długie i monotonne, nie posuwają akcyi. Symmachus u biskupa Ambrozyusza, a głównie młodzież rzymska u aktorki Emilii, są epizodami tak luźno związanymi z całością, że niepotrzebnie ją przeciągają. Teodoryk w jaskini zbójców, to już wprost „ciągnięte za włosy.“ Fanatyk religijny a wódz naczelny ślepo posłusznej armii nie mógł u opryszków i morderców szukać pomocy, tak, jak nie mógł kobiecie, dla której dopuszczał się zbrodni, w chwili namiętnych uniesień, mówić zawsze... o religii. Ta „siła żywiołowa,“ jak ją pan Choinński nazywa, nie bawi się chyba w wywody o... ascetycznych potrzebach ducha i o zbawieniu w życiu przyszłym.

W zamian jednak, wszystkie sceny zbiorowe, o szerokim zakresie, są doskonałe. Dość wspomnieć, jak Symmachus, nie chcąc by między wzbudzonym ludem a gwardyą cesarską przyszło do starcia, któreby mogło przynieść później zagładę Rzymowi, jedzie na czele wrogich mu zbrojnych szeregów na pole Marsowe. Oddział, błyszczący złotem i żelazem, osłania piersiami swemi, on, starzec bezsilny, mający za cały puklerz, miano „Ojca Ojczyzny.“

— Rozstąpcie się, kwiryaci! — błaga, gdy ruchoma, zwarta fala tłumów, zastępuje im drogę. Ale widok wroga, na czele siły zbrojnej, rozjątrza tłumy. — Zabić go! Zabić! — syczą zewsząd. Wtedy Symmachus rzuca się na tył rydwanu i, rozkrzyżowawszy ręce, zasłania sobą Fabricyusza, wołając:

— Zamordujcie mnie wpierw!

I, rozerwawszy tunikę na piersiach, dodaje:

— Uderzcie!

Silna to scena. Czynem tym, starzec ocalił miasto rodzinne od zagłady, a uczucie, jakie nim władało, — czyni z książki p. Choinńskiego, więcej niż powieść, bo pracę obywatelską. W tem dziele sztuki, jak w Mickiewiczu Kurzawy, są braki i niedokładności: Palce u ręki niedbale wymodelowane, sukno układa się w niedosć miękkie, w niedosć prawidłowe i artystyczne fałdy. Całość jednak, ożywia duch tak silny, tak potężny i z każdego bijący rys, że patrząc w to oblicze natchnione, zapominasz o owych historycznych fałdach i palcach zbyt rozsuniętych.

Anatol Krzyżanowski.



PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

* * *

„Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
„Osrebrzać je księżycem i promień światem—
„Nie wiesz, że trzeba niebo zwałić i położyć
„Pod oknami i nazwać jeziora błękitem...

„Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
„W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał
[szafirem...]
„Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wień-
[czyć głowę,
„Jak widzieć je w księżycu, odkreślone kirem.“

Ten, pełny barw fantastycznych krajobraz maluje nam nader wyraziście sposób odtworzenia przyrody w pieśni Juliusza Słowackiego. Jak Mickiewicz serce, tak Słowacki dał przyrodzie głównie fantazję, fantazję tak olbrzymią, lotną, ruchliwą i pełną życia, że potrafiła rzeczywistość „niebo zwałić i położyć pod oknami i nazwać jeziora błękitem.“ Wyobraźnia piewcy tworzy w przyrodzie wizerunki olbrzymie, fantastyczne, jakby w czarodziejskim oświeceniu widziane. Prawda rzeczywistości i wizje fantazyi łączą się u tego poety w jedną nierozłączną całość.

Te cechy twórczości Słowackiego najsilniej uwydatniają się w poemacie, poświęconym miłości na tle przyrody: p. t. „W Szwajcaryi.“ Miłość snuje tu swoją napół ziemską, napół cudownie niebiańską; napół rzeczywistą, napół fantastyczną tkankę na bogato udekorowanym tle przyrody. Miłość ta zdaje się rodzić z łona uroczych zjawisk natury, powstaje ona „z tęczy po burzy w parowie,“ z tej tęczy, która „we mgłach srebrzystych cała się rozwiesza;“ wychodzi z „potoku piany,“ a znika, jak znikają cudne, fantastyczne miraży przed okiem wędrowca na piaskach pustyni. Czarodziejstwo uczuć prowadzi poetę przez uroczą w oświeceniu wyobraźni krainę piękna przyrody: płynie „szwajcarskich jezior błękitami,“ wstępuje „na śniegu korony,“ „na sosnowe bory,“ idzie tam.

„Gdzie trzód jęczą dzwony,
„Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
„Jungfrau i słońce złote ma pod sobą,
„Gdzie we mgłę jeleni przelatuje skory,
„Gdzie orły skrzydeł rozwianych żalobą
„Rzucają cienie na lecące chmury.“

Miłość ta snuje się uroczą sielanką romantyczną, nie prostą „sielanką wiejską, ale jakby przeniesioną do nadziemskiej, nadprzyrodzonej, czarodziejskiej krainy, na wyżyny, gdzie „duchy skrzydła na ramionach kładną,“ pod same niebo, gdzie „z tęczy brama na wyplakanej rozwieszona chmurze.“ Sielanka ta pełną jest blasków tęczy, szelestów tajemniczych, barw egzotycznych, zapachu róż i cyprysów, pienia słowików.

Czarodziejska przyroda poematu ma swoją wyrazistość, swoją plastykę, ale odmienną od plastyki realnej; plastykę barw tęczowych, wizerunków fantastycznych, cudowności, plastykę rozwieszoną na błękitach tęczy, plastykę księżyca, którego oblicze romantyczne przegląda się w to-

ni jeziora, plastykę fal ruchomych, odbijających widoki nadbrzeżne.

Przyroda w pieśni Słowackiego ma nietylko barwy cudowne, które miłemu szczodrze obdarza ją niezmiernie bogatą fantazją poety, ale ma też nastrój, odpowiadający kamertonowi uczuć, które drgają w piersiach bohaterów utworu. Trudno zaiste orzec, czy miłość daje nastrój przyrodzie, czy przyroda miłości, tak się te dwie fale wrażeń zlewają w jedną falę „pełną ruchu i promieni.“ W uczucie szczęśliwej miłości kochanków cała natura udział przyjmuje, daje ona ukochanej „powozy z delfinów i gołębi,“ „kryształowe pałace w wód głębinach“ i „księżycowe korony“ na czoło „w noc ciemną,“ i tą siłą czarodziejstwa, mogłaby, jak mówi kochanek, wszystko z nim robić.

Przyroda zdaje się przygrywać pieśni miłosej harmonją melodyi swojej. Gdy nastąpiły dni największego upojenia miłością, gdy kochankowie „siedli w swoich progach sielskich“ i „rozmawiali o rzeczach anielskich,“ naówczas przyroda tak piękna, tak czarodziejską, tak napół ziemską, a napół niebiańską, mistyczną pieśń im nuci:

„Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
„Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
„I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
„I ciszej źródła po murawach dyszą:
„Jakby ta gwiazda miała coś nakazać
„I o czemś cichem pomówić ze światem,
„Z każdym słowikiem, listeczkiem i kwiatem.
„Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
„Wychodzi błąd pierścionek Dyany:
„Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
„I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
„I wszystkie źródła jęk wydają szklanny.“

A gdy ukochana „zniknęła, jak sen jaki złoty,“ naówczas pod oknami opuszczonego kochanka „fontanna jęczy zapłakany szumem,“ jęczą słowiki, księżyc błądą, smutną twarzą przez szyby zagląda, wszystko mówi o niej, a myśl nieszczęśliwego samotnika unosi się na skrzydłach tęsknoty miłosej w świat przyrody mistycznej, patrzy, „w lecące po niebie labędzie,“ tam chce polecić, „gdzie one poleca,“ i szuka miejsca:

„Gdzie księżyc przyjdzie, aż pod ławę,
„Idąc po fali, zaszeleści złotem,
„I załaskocze tak dusze tajemnie,
„Że stęskni, ocknie się—i wyjdzie ze mnie.“

Przed zniknięciem ukochanej przyroda zwiastowała kochankom nieszczęście rozstania, pokrywając się kirem i czerwienią słońca o zachodzie.

Poemat cały robi takie wrażenie, jak gdyby miłość wstępowała do serca kochanków przez czary przyrody, jakby w nich żyła, treścią ich się karmiła, jak gdyby wrażenia, idące od natury, były sprawcami wszystkiego, co się stało, były tym szatanem—kusicielem, o którym mówi nam tradycja raju. Winną jest wszystkiemu tak niewinna zkadina lilja, winien ten wiatr, który rzucił na kochanków „całe wodne piekło,“ winna woń cyprysów i barwa, co się w różach płonie.

Pieśń poety przemawia też wyłącznie prawie językiem przyrody. Uczucia spadają w serca kochanków „gwałtownymi loty,“ „jak gołębi chmura,“ „pięć łyż i białe w nich obmywać pióra, aby się czyste rozlecieć po niebie.“ Kochanka „płonie wonna, jak kadzidło miry,“ i idzie śpiącego całować, „jak z rozwartymi skrzydłami gołębie.“

Samą postać ukochanej poeta przystraja w cudowne barwy i blaski przyrody: jest ona „jasną od promieni słońca,“ „rozwidnioną źrenicą z błękitu,“ usta jej to połączenie „perł i róży,“ naokoło niej „igrają tęcze w blaski rozmaite,“ bieli ją „dzień alabastrowy,“ a „mróz na jej czole“— „perłami okrywa wszystkie polne róże;“ jest ona „w księżycu blasku biała—lub wieczorem od Alp na śniegu różowym—różowa. Rzeczywistej postaci kochanki poeta nie kreśli, jak gdy-

by była jakaś nimfą, na utworzenie której złożyły się wszystkie czary przyrody.

Fantazyjność i nastrojowość natury widzimy we wszystkich utworach Słowackiego. Nie tylko miłość, ale wszelkie też inne uczucia wyowiada poeta językiem przyrody: w obrazach jej, światłach i woniach. W skarbcu tym znajduje niewyczerpane bogactwo przenośni i alegoryi. W „Hymnie o zachodzie,“ słońce, rozlewając „tęczę blasków promienistą“ i gasząc „gwiazdę ognistą“ „w lazurowej wodzie,“ rzucając na fale „ostatni błyski,“ wlewa do serca ten smutek, który jest zarazem ciszą morza i rozpaczą bezdenną, jak głębie jego, który jest bezbrzeżną melancholją wspomnień. W „Grobie Agamemnona“ znów melancholijny głos duszy poety wzlata na skrzydłach wiatru, który „przychodzi po szczelinach wzdychać,“ napędza nasiona kwiatów na groby i „ma Elektry głos“ i „odzywa się z laurów: „jak mi smutno!“

Przyroda czuje, stroi się w szatę melancholii, tej melancholii, która była treścią duszy poety, niekiedy w kiry smutku i rozpacz. Palma marzy, zakochana w źródle. Słońce nad grobami umarłych ma oblicze upiora; morze nie szumi, lecz wyje rozpaczą. „Śpiewa dla róży słowik zakochany.“ „Tam znów w murawie błyszczą tulipany, i pełne rosy schylając kielichy, płaczą, bo nazbyt łzami obciążone.“

Słowacki ukochał przyrodę nie gorącym tętnem serca człowieczego, jak Mickiewicz, nie w głębokiej zadumie metafizycznej, jak Goethe, nie wreszcie przez nienawiść do ludzi, jak Byron, ale ukochał ją, jako jedno z najpiękniejszych widziadeł swej wybujałej, ruchliwej fantazyi, która ulata na skrzydłach tęsknych, melancholijnych marzeń w świat, pełny barw tęczowych. Duch Byrona, charakter jego wyobraźni, najsilniej przemawia w pieśni Słowackiego. Niektóre poematy jak np. „Arab“ oddychają nienawiścią nie tylko do ludzi, ale niekiedy nawet i do przyrody. Choć pieści się nią fantazyja poety, jako widziadłem nadziemskim, to jednak w uniesieniach demonizmu „Arab“ pragnie „zasypać źródlane kryształ,“ aby „skonala palma w piekielnym upale.“ Wogóle Słowacki nie kocha przyrody dla niej samej, kocha ją duszą artysty-poety, a nie sercem człowieka, kocha w marzeniu, w upojeniu, kocha dla tego, że cały świat jego wyobraźni poetycznej jest jej pełen, że widzi ją wszędzie i zawsze, nawet w zachwytach mistycznych: w postaci motyla, który „z jedwabnej zmarłych wstał trumny,“ i kraży naokoło umierającego, lub w blaskach księżyca, który spogląda twarzą umarłego. W każdym razie romantyzm wyraził tu jedną z najpiękniejszych stron swojej twórczości, ukazał cudowne oblicze fantazyi, opromienionej czarem głębokiej melancholii i rozmarzenia. Nadmienić też należy, że Słowacki, jak Byron, posiada potężną indywidualność artystyczną, jest poetą nawskroś podmiotowym; więc też przyroda w pieśni jego to on sam, to jego duch. Nie czerpie on poezji z przyrody, ale przyrodę na materiał poetyczny przetwarza.

(Dalszy ciąg nastąpi),

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Zaczynałem żalować, że okna były pozamykane, a nad tysiącem sprzecznych myśli, od których mi aż głowa zaczynała ciężać, górowała jedna: że moje Angielki już nie siedziały naprzeciw mnie, że się nie patrzyły na mnie w tej chwili, że w razie czego nie będą potrzebowały wstydzić się przed niemi. Ta myśl przyno-

siła mi ulgę. W końcu wypilem reszty sodowej wody, a kiedy po deserze, za który podziękowali wszyscy prócz kapitana i jego towarzyszy okrętowych, podano czarną kawę i koniak, zrezygnowałem z kawy, ale nie zrezygnowałem z koniaku. Nawet go przegryzłem jeszcze jednym korniszonem. Ale nagle zaszedł wypadek, który na wszystkich wywarł wprost przynębiające wrażenie: oto jeden z Anglików-szachistów, pobladłszy nagle, jak kreda, powstał od stołu, ażeby się udać na pokład, ale zaledwie powstał i postąpił parę kroków w kierunku schodów, zachwiał się na nogach, stracił równowagę, którą zachować wobec coraz silniejszego gibotania się okrętu istotnie było niełatwo, i runął na ziemię, „jak palma złamana.“ Był to, przyznaję, bardzo przykry widok, tak przykry, jakbyśmy byli świadkami ataku cholery... Po chwili wstał jeden z Francuzów, już nie blady, ale zielony na twarzy, i zdążając ku schodom, przyczem z trudnością trzymał się na nogach, oświadczył z gorzkim uśmiechem, że idzie popatrzeć na zachód słońca. Za moment uczyniłem to samo i ja, a nie zapomnę tego zachodu słońca!

W godzinę potem, osłabiony i wyczerpany, zawlokłem się do mej kajuty, prawie nie przytomny, obojętny na wszystko. Na wszystko, poczawszy od kołysania się okrętu, które było tak silne, że idąc korytarzem, przez cały czas musiałem się trzymać baryery, żeby nie upaść, a skończywszy na poplamionym ubraniu, które się znajdowało w opłakanym stanie. A jednak byłem obojętny i na to: poprostu nie przypominam sobie, czym kiedykolwiek czuł taką apatyę. Na szczęście znalazł się taki, który pomyślał o mnie. Był nim ów służący okrętowy, Bretończyk, który, spotkawszy mnie na korytarzu, poszedł za mną, a gdy wszedł do kajuty, pomógł mi się rozbierać, a nawet wymógł na mnie, żem się przebrał cały. Inaczej położył bym się spać, jak nieboskie stworzenie, bo z pewnością sam nie zdobył bym się na tyle energii, żeby się nie położyć tak, jak wróciłem po tym zachodzie słońca...

Szczęśliwym przypadkiem, kabina, którą mi wyznaczono, znajdowała się w samym środku okrętu, tak, że nieznośna chwiejba znacznie mniej dawała mi się we znaki, niż w jakimkolwiek innym miejscu. Dzięki tej pomyślnej okoliczności, kiedy wreszcie położył się do łóżka, w którym się leżało, jak w szufladzie, prawie nie czułem kołysania się; co najwyżej miałem złudzenie chwilami, że jestem niemożliwym, które ułożono do snu—w kołysce. Złudzenie to potęgowała jeszcze dramatyczna kołysanka, której głuche dźwięki słyshałem przez ścianę, a na którą składały się przeciągłe jęki i poświsty szalonej wichury, oraz „ryk wód, szum zawiei,“ jak powiada Mickiewicz w *Burzy*. Leżąc tak, na znak, nakryty kołdrą, patrzałem to na matowe szkło lampy elektrycznej w suficie, to na przeciwległe okrągłe okienko w ścianie przez które chwilami widziałem siny sklep nieba, a chwilami zaglądałem w ciemność otchłani morskiej. Okręt bowiem, unosząc się na falach, które nim zdawały się igrać, jak piłką, tak bardzo przewalał się z boku na bok, że okienko mej kajuty (dobrze, że hermetycznie zamknięte) raz po raz zanurzało się w wodzie, lub było obryzgowane białymi pędzłami bałwanów, które niekiedy musiały przelewać się przez pokład. Ale okręt, choć osaczony przez nie, zdawał się im uragać, a pędząc całą siłą obu maszyn parowych, od których wyteżonej pracy drgały wszystkie ściany, przecinał wodne góry, to wspinając się na nie, to zsuwając się z nich, to wytrzymując gwałtowne ataki z boków. Wszystko to, razem wzięte, wraz z głuchym dudnieniem szruby, która co chwila wynurzała się z wody, a wtedy obracała się z jakimś przejmującym

turkotem, składało się na prawdziwie piekielną symfonię, której przysłuchując się, mimowoli myślałem o drugiej strofie *Króla Duchy*:

Ja, Her Armeńczyk, leżałem na stosie
Trupem... przy niebios jasnej błyskawicy,
Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie
Odzywał do ech ciemnej okolicy.
Niebo zczerniało, ale świeciło się
Grzmotami, jak wid szatańskiej stolicy,
A ja, świecący od ciągłego grzmota,
Leżałem. Zbroja była na mnie złota.

Mimo to wszystko, dziwna rzecz! ani razu nie pomyślałem o możliwości niebezpieczeństwa. Pod tym względem byłem spokojny zupełnie. Za bardzo byłem przeświadczony o doskonałości okrętów nowoczesnych, które sobie w ogóle nie robią z burz morskich.

Tymczasem zaczęła ogarniać mię senność, której nie mogąc ani chcąc się opierać długo, usnąłem w końcu.

Jak długo spałem, nie wiedziałem na razie. Wiedziałem tylko, że spałem bardzo smacznie, a kiedy się obudziłem, pierwsze uczucie, jakie mną owładnęło, skorom przetał uczyć, było uczucie głodu: czułem jakąś niezwykłą pustkę w żołądku... Która godzina? O tem nie miałem pojęcia. Zdawało mi się, że jeszcze nie musi być późno, choć jednocześnie miałem wrażenie, że musiałem spać dosyć długo.

Burza szalała w dalszym ciągu, a kiedy usiadł na posłaniu, mogłem się przekonać odrazu, że chwiejba jeżeli się nie zwiększyła, to nie zmniejszyła się z pewnością. W tem przeświadczeniu wyszedłem z łóżka, ale zaledwiem zdołał nogi postawić na ziemi, kiedy w jednej chwili został rzucony na łóżko po drugiej stronie, o które szczęściem oparłem się rękoma, co mię uchroniło od oderzenia głowy o ścianę... To mimowolne *salto mortale* dało mi miarę, jak dalece ruchomą była podłoga podemną. Ostatecznie musiałem się ubierać siedzący, bo utrzymać się na nogach, nie trzymając się rękoma, bądź którego z łóżek, bądź klamki, było trudno, ba, prawie niepodobna: cała kabina wahała się na wszystkie strony, jak w oczach pijanego.

Ubrawszy się, wyszedłem na korytarz. Na korytarzu było pusto. Wszystkie drzwi od kabiny były zamknięte. Trzymając się mahoniowej poręczy, biegnącej wzdłuż obu ścian, doszedłem do sali jadalnej, przekonany, że tam będę mógł posilić się trochę. Ale i w sali nie znalazłem żywej duszy. Pusta i prawie ciemna, oświetlona zaledwo paroma lampkami elektrycznymi, rzucającymi mdłe światło na nienakryte stoły, na otwarte pianino w głębi, wydała mi się dziwnie smutną i opuszczoną, a choć z zewnątrz dochodził szum wzburzonego żywiołu, w sali zdawała się panować jakaś martwa cisza, nastrojająca minorowo, nieprzyjemnie. Cóż dopiero, gdy na tle tej ciszy usłyszałem jednostajne bicie zegaru, wskazującego—północ. Oczom wierzyć nie chciałem, bo byłem przekonany, że nie musi być więcej, niż 10-ta najwyżej. Teraz zrozumiałem, dlaczego nie spotkałem żywej duszy, dlaczego cały okręt robił takie wrażenie, jakby płynął sam, opuszczony, zdany na łaskę i niełaskę burzy, a na tym bezładnym okręcie nie było nikogo, prócz mnie. Pod tem przynębiającym wrażeniem siadłem na najbliższej kanapie, nie wiedząc, co robić z sobą, gdzie się obrócić. Byłem wywczasowany i rzeźki, a choć kanapa, na której siedziałem, raz zdawała się zapadać na dół, a raz wznosiła się do góry, mimo to czułem się dobrze... Widocznie, że do wszystkiego można się przyzwyczaić, a do okrętowego huśtania się prędzej i łatwiej, niż do czego innego. Jednocześnie czułem szalony głód, a że zapokoić go nie widziałem sposobu, więc byłem bliski rozpacz. Z drugiej strony nie mogłem sobie nie zdawać sprawy z niezwykłego położenia, w jakim się znajdowałem: oto byłem na

pełnem morzu, „sto mil od brzegu i sto mil przep brzegiem,“ wśród burzy, absolutnie sam, na okręcie, który „przewalał się, nurkował w pienistej zamieci,“ a ostatecznie mógł się rozbić... I znowu mi się przypomniął czwarty Sonet krymski, w którym podczas *Burzy*:

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślał: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma się z kim żegnać...

Tak przesiedziałam chwilę, aż się w końcu przebudził we mnie—literat. Przestałem myśleć o tem, ile mil dzieli mię od domu, od Warszawy, a przypomniałem sobie, że jestem literatem, który ma możność obserwowania burzy na morzu, który ją może widzieć z okrętu, i że nie każdy literat ma taką okazję w życiu. Jednocześnie przypomniało mi się, że od owego zachodu słońca, (któremu się przypatrywałem przez oryginalny przyzmat morskiej choroby), właściwie nie widziałem burzy, którą obserwowałem o tyle tylko, o ile dawała się uczuć w kajucie. Wynikało z tego, że miałem pojęcie, jak wygląda burza morska—w kajucie, w łóżku lub przy stole, ale nie miałem wyobrażenia, jak wygląda wzburzone morze obserwowane np. z pokładu okrętu. Tymczasem literat, artysta, mając możność takiego przypatrzenia się burzy, byłby filistrem, gdyby dobrowolnie wyrzekł się podobnej sensacji. Z takich okazji należy korzystać, bo nigdy się nie jest pewnym, czy jeszcze raz będzie się odbywało taką podróż morską.

Temi—czysto artystycznymi—pobudkami powodowany, zdecydowałem się wyjść na pokład, z ką (wyobrażałem sobie) musiał się w tej chwili roztaczać widok przepyszny, przepyszny w swej grozie rozhukanego żywiołu. I nie zawiodłem się pod tym względem, jakkolwiek pierwsze wrażenie, którego doznałem, przeszło wszelkie oczekiwania z mojej strony. Kiedy, wszedłszy po schodach, otworzyłem drzwi, prowadzące na pokład, w tejże chwili załała mię masa wody, która nie tylko załała mi oczy, zmoczyła całe ubranie, a nawet chwilowo pozbawiła przytomności, jakby mię kto uderzył obuchem, ale wpadła na mnie z taką siłą, że omal nie zrzuciła ze schodów, w które chlusnęła całym strumieniem. Ogłuszony, a i przestraszony nie mało, tyle zachowałem przytomności, żem nie puścił klamki, co mię uchroniło od zlecenia ze schodów (na czem z pewnością nie wyszedłbym dobrze, pomimo, że schody były wyłożone miękkim dywanem). Widząc, że niema żartów, zanim zdołałem otworzyć zalane oczy, przede wszystkim zatrząsnąłem drzwi, a następnie, spojrzawszy na schody, całe ociekające wodą, i na moje ubranie, które było przemoczone do nitki, jakby mię kto zanurzył po szyję, usiłowałem sobie zdać sprawę, co to było? Przekonałem się, że był to bałwan, którzy w chwili właśnie, gdy otworzył drzwi, wpadł przez burtę na pokład, i że takie bałwany raz po raz szturmowały do okrętu, za każdym razem tłukąc we drzwi, jakby się do nich ktoś dobijał gwałtem. Szczęściem drzwi były obliczone na takie ataki, więc mogły im uragać bezpiecznie, a ja, stojąc za nimi, nie potrzebowałem się obawiać niczego, choć bałwany, kiedy się rozbijały o zewnętrzną stronę drzwi, czyniły to z ogłuszającym hukiem. Stojąc tak, zmoczony, jak niedoszły topielec, nie wiedziałem, co począć. Upłynęło parę minut, a przez ten czas, przysłuchując się piekielnemu szumowi morza, pomieszczanemu z wyciem wiatru, a przerywanemu hukiem pojedynczych bałwanów, przelewających się przez pokład, mogłem się przekonać, że burza bynajmniej nie miała się ku końcowi. Jednocześnie zrobiłem obserwację nad bałwanami, rozbijającymi się o drzwi: że między jednym a drugim upływa zawsze ze dwie minuty, a w ciągu tego krótkiego czasu panuje względna cisza. Po niedługim namyśle, doszedłem do przekonania, że korzystając z takiej chwilowej przerwy, można by, otworzywszy drzwi, popatrzeć na morze, a widząc nadciągający bałwan, zamknąć mu drzwi—przed nosem. Nie przypuszczać

łem, ażeby to mogło być zbyt ryzykowne, i przekonalem się, że moje przewidywanie było trafne. Przekazawszy pierwszy z następnych bałwanów, otworzyłem drzwi, a stanawszy w progu, z jedną ręką wspartą na kłamece, drugą silnie trzymając się poręczy, spojrzalem przed siebie. Widoku, który uderzył moje oczy, nie zapomnę nigdy! Za ciemnym zmoczonym burtem ujrzałem morze, czarne, jak sadze, a podobne do rozoranej skiby: czarna masa wody, szumiąca przeraźliwie, niespokojna, ruchliwa, jak war, kotłująca się, a na całej olbrzymiej przestrzeni—jak okiem, sięgnąć—mieniąca się srebrzystymi grzywami bałwanów, podobnymi do wyszczerzonych zębów jakiej wścieklej bestyi. Dokoła szum i gwar, jakby z tysiąca pomieszanych rozmów i krzyków, a nad tą wzburzoną, miejscami fosforyzującą roztoczą morską, tu i owdzie wzdymającą się całymi górami wodnemi, a gdzieindziej zapadającą się strasznymi czeluściami, rozciągało się sine niebo, gęsto powleczone czarnymi porwanami chmurami, a te z niebywałą szybkością pędziły na północ. Za temi chmurami czuło się księżyc, który swem mglistem światłem rozjaśniał te nocne ciemności. Powietrze było duszne, suche, a wiatr, który mi wiał prosto w twarz, był ciepły, jakby przechodził przez piec. O deszczu nie było mowy, ale w powietrzu, gdy się okręt bardziej pochylił ku morzu, czułem mnóstwo pyłu wodnego...

Taki widok trwał przez chwilę. Raptem zdołał mi się, że niedalej, jak o sto kroków przedemną, wyrasta olbrzymia góra, rosnąca w mgnieniu oka, pieniać się na grzbiecie, a zbliżająca się ku okrętowi. Cofnałem się, zatrzasnąłem drzwi, i po upływie paru sekund usłyszałem głuchy huk, a zaraz po nim szelest rozlewającej się wody: to nowy bałwan przelał się przez pokład. Po chwili znów otworzyłem drzwi, bo mię zaczynało bawić to *tête à tête* z rozhułkanym żywiołem. Wychyliwszy się po za framugę drzwi, spojrzalem na pokład, ciekawy, czy na nim nie zobaczę kogo przypadkiem, ale na mokrym pokładzie, zalanym wodą, która w miarę kołysania się okrętu sływała z jednego końca na drugi, nie było żywej duszy. Tylko na masztach, wśród lin, drabinek i rejów, paliło się kilka lamp różnokolorowych; z obu kominów buchały kłęby czarnego dymu, ten zaś, pomieszany z iskrami, a rozdmuchiwany wiatrem, rozciągał się w długie brunatne pasma, których jakby poszarpany obłok unosił się za okrętem. Tymczasem okręt pędził naprzód, a prując bałwany, w które często wrzynał się klinem, lub je rozbił na dwie spienione pletwy, sunał z takim pędem, z taką szaloną furją, że robił wrażenie jakiegoś apokaliptycznego potwora, przed którym spiętrzone bałwany, jakby zaleknione, rozstępowały się na obie strony, ażeby mu dać przemknąć pomiędzy swemi spienionemi ścianami. A potwór sapał tylko, drgał od zdwojonej pracy maszyn parowych, dudniących w jego wnętrzu, ział iskrami i kłębami dymu, i jak ów Mickiewiczowski okręt z trzeciego krymskiego Sonetu, „wznosił kark, deptał fale, wiatr chwycił pod skrzydła.“ Był to przepyszny widok, albowiem równało się symbolicznemu obrazowi walki geniuszu ludzkiego z rozpętanemi żywiołami natury, walki, w której geniusz ludzki tryumfował nad obezwładnioną przyrodą. Tymczasem nowa góra wodna zaczęła się piętrzyć przed okrętem, a znaczyło to, że trzeba zamknąć drzwi, jeśli się chce być zalanym lub splukanym przez nadechodzący bałwan.

Po chwili wyjrzałem znowu i tak upłynęła godzina: ciągle otwierałem i zamykałem drzwi, a manipulacja ta, wcale dobrze pomysła-

na, pozwalała mi przypatrywać się burzy, nie będąc narażonym na ponowne zmoczenie.

Około I-ej powróciłem do mej kajuty, bo znowu zaczynało mi być tak, jakbym miał chorować... Dlatego położyłem się czempredziej (zmuszony przebrać się przedtem), poleżałem ze dwadzieścia minut, ubolewając, że tak muszę leżeć naczczo, aż w końcu, ukołysany chwiejbą i nieustającym warzeniem burzy, usnąłem...

Ferdynand Hösicik.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Na wielkim konkursie powieściowym, ogłoszonym przez „Kuryer Codzienny“, dostała nagrodę za powieść p. t. „Panienska“, p. Emma Jeleńska z Wilna. Z sześćdziesięciu sześciu utworów na konkurs nadesłanych praca p. Jeleńskiej okazała się najlepszą i zyskała odznaczenie konkursowe. Przybywa zatem literaturze nowa rzecz dobra, a zastęp kobiet piszących powiększe się o jedno więcej imię, które z serdeczną radością się wita jako nową i dodatnią siłę na polu piśmiennictwa naszego.

— Grono kobiet w Warszawie zamierza otworzyć dla dzieci miejskich pracownię „słójdu“ czyli nauki zręczności. Towarzystwo Dobroczynności ma rozstrzygnąć w tej mierze, a pracownia taka byłaby bardzo pożytecznym nabytkiem dla małego biedactwa, które podrastając nie wie, co ma uczynić z dziesięcioma swymi ruchliwymi palcami, żądnymi ruchu i obraca najczęściej tę chętkę na szkodę własną lub otaczających przedmiotów. Taka pracownia zręczności przygotowywałaby przytem do szkół rzemieślniczych.

— W Łodzi powstała między inteligentnemi kobietami myśl utworzenia pożytecznych rozrywek dla robotnic fabrycznych w dni świąteczne w celu uczciwego przepędzenia czasu i nabywania potrzebnych wiadomości.

— Stowarzyszenie „Pracy kobiet“ w Kołomyi w Galicyi otworzyło z dniem 15 Października b. r. osobne kursa obejmujące naukę: krawiectwa, szycia bielizny i gorsetów, hattów artystycznych, robót ozdobnych, dywanów smyrneńskich, koronek hiszpańskich, saskich i t. p. Nauka odbywa się w godzinach poobiednich, 3 razy tygodniowo po 2 godziny. Udzielają jej nauczycielki stowarzyszenia. Oplata wynosi: za 2 razy tygodniowo 3 złr., a za 3 razy 4 złr. miesięcznie. Na prowincyi taka szkoła może oddać istotne usługi licznym, pragnącym zajęcia i zarobku kobietom, oddalonym od stolicy i zakładów podobnych.

— W Anglii pracuje w stenografii 2,000 kobiet i zarabia w tej gałęzi pracy na dostatnie utrzymanie. W Warszawie systematyczną naukę stenografii, pobierać mogą panie w szkołach handlowych p. Józefy Siemiradzkiej i p. Izabelli Smolikowskiej.

— Panna D-r Barbara Burbo, asystentka w klinice ocznej D-r Wicherkiewicza w Poznaniu, została powołaną, jak donosi „Goniec“ w charakterze okulistki na dwór Szacha perskiego.

— W Wrocławiu rozpoczęła szereg odczytów pani Regina Reisser. Cykl ten obejmować będzie postaci kobiece z historii, literatury

i sztuki. Odczyty pani Reisser cieszyły się dotychczas ogólnem zainteresowaniem.

— Panna Klara von Tschudi, Szwedka, z powodu swego jubileuszu otrzymała od Króla Szwedzkiego wielki złoty medal *literis i artibus*. Panna Tschudi jest jedyną kobietą w Szwecyi i Norwegii, która tę wielką odznakę posiada, przed nią miała ją tylko pani Camilla Collet w Norwegii.

— Panna Elza Eschelssohn, D-r jur., jest pierwszym profesorem uniwersyteckim w Szwecyi. Została zatwierdzoną właśnie na docenta prawa cywilnego.

— Pani Felicja Nossig-Prochnik ze Lwowa uzyskała w Bernie w Szwajcaryi stopień Doktora filozofii z tytułem *summa cum laude*.

— Pani Rozalia Löw praktykująca w Nowyorku jako adwokatka, jest pierwszą tam kobietą, która jako przysięgła występuje w sprawach sądowych.

— Do nowej szkoły dentystycznej w Warszawie założonej przez p. Ludwika Szymańskiego zapisało się 62 słuchaczy, w połowie kobiet. Wartość, aby przyszele dentystki zwróciły uwagę na to, żeby udoskonalić sztukę zachowywania zębów długo zdrowych i silnych, a mianowicie, aby wzięły do serca pielęgnowanie zębów i ust u dzieci, co jeszcze do dziś jest w stanie dosyć zaniedbanym. Wogóle higiena zębów zyska może u dentystek nowe i skuteczne naukowe porady.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że komisya powołana do opracowania projektu rozszerzenia instytutów technicznych, postanowiła powiększyć liczbę miejsc w petersburskim instytucie technologicznym z 500 do 1200, w charkowskim z 500 do 1000 i w szkole moskiewskiej z 500 do 900.

— Dnia 15-go Grudnia b. r. otwarta ma być do użytku publicznego komunikacja telefoniczna między Lwowem a Wiedniem. Linia ta jest już zupełnie gotowa i obecnie odbywają się próby.

— Jeden z przedsiębiorców warszawskich porozumiewa się z zarządem telefonów w sprawie ustawienia w różnych punktach miasta gustownych kiosków, w których umieszczone byłyby telefony do użytku publiczności za opłatą po 6 kop. za rozmowę.

— W szkołach handlowych nowego typu, pozostających pod zarządem ministerjum skarbu główna uwaga zwrócona ma być na naukę języków: niemieckiego, francuzkiego i angielskiego podług nowej metody praktycznej.

— Według opracowanego już planu fundacyi małżonków Wawelbergów na razie wzniesione będą domy na pomieszczenie 200 do 250 rodzin. Cena najmu lokalów w tych domach będzie bardzo niska, a cały fundusz, uzyskany w tej drodze, obracany będzie na budowę nowych domów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuusz 11 powieści, p. t. *Dla zabicia czasu*, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S. — *Raj Kludy*, przekład z niemieckiego, przez Wildenbrucha.

Treść: Szczęsna. Sonety.—Wystawa pracy kobiet. III, przez Anatola Krzyżanowskiego.—Kazimierz Gliński. *Wróci!* Powieść. (dalszy ciąg).—Z walk dziejowych, przez Anatola Krzyżanowskiego (dokończenie).—Przyroda w poezyi, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg).—Na morzu, przez Ferdynanda Hösicika (dalszy ciąg).—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Dla zabicia czasu*, powieść, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S. Arkuusz 11. — *Raj Kludy*, przekład z niemieckiego, przez Wildenbrucha.—Przeгляд mód. 36 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspożycye obiadu.